

Poszedł za portyerem do jego łoży i usiadł na podanem mu krześle.

— Panie — rzekł portyer poważnie — nie mam honoru znać pana i nie wiem, w jakim celu przybywa pan do mnie.

Oktawiusz Gaudin wzruszył niecierpliwie ramionami.

— To jednak jest bardzo jasne — odparł żywo — i zaraz wytłumaczę ci wszystko. Kiedyś wieczorem spotkałem na balu maskowym opery młodą kobietę, której twarz ukrywało domino. Lubię bardzo ładne kobiety, a przecucie mnie nie myli, że ta należy do ich rzędu. Uczyniła tak silne wrażenie na mnie, że postanowiłem ją śledzić. Ponieważ więc kareta, do której wsiadła, zatrzymała się przed tym domem, przypuszczam, że mieszka tutaj i żądam od ciebie sposobu widzenia się z nią.

Portyer uśmiechnął się pod wąsem.

— Te będzie trudno — oznajmił.

— Czy ta młoda kobieta jest zamężna?

— Nie, proszę pana.

— Nie mieszka tu jednak sama?

— Zapewne.

— Z kochankiem, co?

— To nie jest jej kochanek.

— Któż to więc jest?

— Nie wiem tego.

Oktawiusz pogardliwie machnął ręką.

— Zresztą, to mnie najmniej obchodzi — odparł obojętnie. — Pragnę tylko widzieć ją i móżdż z nią porozmawiać choćby godzinę.

— Pani nie przyjmuje nikogo — wyrzekł zimno portyer.

— Tak sądzisz? — zaśmiał się drwiąco Oktawiusz.

— Och! Jestem tego pewnym!

— Na wszystko jest początek, mój kochany, wiesz o tem najlepiej.

— Być może.

— I jeżeli uzyskasz od swojej pani pozwolenie na wprowadzenie mnie już do niej, czeka i ją i ciebie nagroda wspaniała, rozumiesz?

Portyer skłonił się, obiecując uczynić, co tylko będzie w jego mocy.

Oktawiusz Gaudin, pewny już wygranej, pozostawił swój bilet wizytowy i adres, poczem oddał się, pełen najlepszych marzeń. Nazajutrz więc w popołudniowej godzinie jechał w karecie swojej, zaprzęzonej w dwa przepyszne konie, do mieszkania nieznajomej. Zaledwie wysiadł, portyer uśmiechnięty podbił do niego oznajmiając, że może udać się na górę.

Oczywiście Oktawiusz nie kazał sobie powtarzać tego zaproszenia.

— A więc ci się udało? — zapytał portyera.

— Oczekują na pana — brzmiała usłużna odpowiedź.

— To wspaniale, mój kochany, spisałeś się doskonale i nie zapomnę o nagrodzie dla ciebie.

— Oddałem bilet pana mojej pani — oznajmił portyer — i zaledwie rzuciła na niego okiem, kiedy krzyknęła z lekka, jakgdyby zdziwiona i powiedziała mi, że mogę pana wprowadzić do niej, jak tylko pan przybędzie.

Oktawiusz był silnie wzruszony. Twarz jego przyoblekła się lekkim rumieńcem i uczuł przyspieszone bicie serca.

— Czyżby mnie znała? — szepnął zaintrygowany w najwyższym stopniu.

— To bardzo możliwe, proszę pana — odparł portyer, przypatrując mu się z zajęciem.

— Toby jednak było szczególnie.

— Może pan zechce iść za mną?

— Ależ oczywiście, mój kochany, idę!

Oktawiusz wszedł na pierwsze piętro i natychmiast wprowadzony został do niewielkiego saloniku, umeblowanego z wyszukany smakiem, gdzie każdy sprzęt zdradzał wyraźnie obecność kobiety.

Firanki z zielonego aksamitu, wiszące u okien, wchłaniały w siebie zanadto jaskrawe promienie światła, rzucając delikatne półcienie na pokój cały. Na środku stał olbrzymi kosz najwspanialszych kwiatów, zmieszanych ze sobą w chaotycznym nieładzie, nie pozbawionym artystycznego wdzięku. Bogaty dywan pokrywał posadzkę, a na ścianach wisały liczne obrazy najlepszych mistrzów.

Chociaż Oktawiusz Gaudin był tylko gieldziarzem, znał się dostatecznie na arcydziełach sztuki i dobrym smaku. Szczerze więc zatopił się w podziwianiu różnych drogocennych drobiazgów i fadałszków, kiedy nagle drzwi od saloniku otworzyły się i usłyszał lekki szmer sukni.

Odwrócił się szybko. Przed nim stała nieznajoma z balu Opery. Była to rzeczywiście kobieta, mogąca zachwycić najwybredniejszego znawcę.

Na pierwszy rzut oka Oktawiusz odczuł, że ma przed sobą kobietę ze świata, a nie awanturnicę, jak dotąd gotów był ją sądzić. Poruszony instynktownym jakimś szacunkiem, skłonił się przed nią głęboko.

Młoda kobieta z wdziękiem uklon mu oddała, wskazała mu krzesło i sama usiadła na niskiej kanapie przy kominku.

— Pan pragnął ze mną mówić — odezwała się po chwili głosem, w którym dobry obserwator odnalazby lekką ironię. — Widzi pan, jak chętnie przyczyniłam się do pana pragnienia.

Oktawiusz uklonił się raz jeszcze.

— Proszę mi wierzyć — odparł — że jestem głęboko wzruszony i wdzięczny za tę łaskę okazaną mi.

Młoda kobieta uśmiechnęła się lekko.

— Tylko — dodała żywo — pospieszam dodać, że obdarzając, jak się pan sam wyraził, tą łaską, zwracałam się do dżentelmena, do człowieka dobrze wychowanego. Bo kiedy podano mi pana bilet wizytowy dziś rano, odczytałam znajome sobie nazwisko.

— Czy to możliwe? — wykrzyknął Oktawiusz.

— Mówiono mi o panu.

— Kobiety może?

— Nie pamiętam już.

— Mówiono o mnie źle, nieprawdaż?

— Powiedziano mi, że pan ma zamiar ożenić się w najbliższym czasie.

— Tak, to prawda — rzekł Oktawiusz wesoło.

— Jakże to pan rozumie? — podjęła młoda kobieta z ironicznym uśmiechem. — Żeni się pan, nieprawdaż, z młodą, ładną i bogatą dziewczyną, która pana kocha i zyskała wzajemność pana?

— Zapewne, zapewne — bąknął Oktawiusz. — Pani jednak musi się inaczej zapatrywać na takie małżeństwo, ja zaś, należąc do ludzi pracujących na giełdzie, inaczej.

— Nie rozumiem pana.

— To przecież takie jasne, proszę pani. Pieńdz jest podsiawą wszelkich finansowych operacji i kiedy przystępujemy do podobnych interesów, to zazwyczaj z kapitałem bardzo ograniczonym. Przychodzi jednak czas, kiedy koło operacji naszych powiększa się, rozciąga i w porzebie, w jakiej się wówczas znajdujemy, aby nie zepsuć tego, co już zbudowaniem zostało, udajemy się do niezawodnego środka, choć przyznam sam, że trochę gwałtownego i nie zawsze przyjemnego.

— Żenicie się wówczas, nieprawdaż? — zapytała młoda kobieta.

— Tak jest, proszę pani.

— To znaczy, że podpisując kontrakt ślubny, większą przykładacie wagę do posagu, jak do kobiety.

— Oczywiście — zawołał Oktawiusz, śmiejąc się swobodnie.

— Czy pani to dobrze rozumie? — rzucił po chwili młodej kobiecie, obrzucając ją równocześnie spojrzeniem pełnym zuchwalstwa i przebiegłości.

— Doskonale — odpowiedziała — tylko pozwoli mi pan uczynić małą uwagę.

— Jaką?

— Że trzeba być bardzo pewnym kobiety, aby nie utracić posagu.

— Pani ma słuszność. To też uczyniłem tak, że mnie kochają.

— I nie ma pan rywala?

— Nie znam go przynajmniej.

— Mógłby się pan jednak mylić — podsunęła żywo młoda kobieta.

— Nie sądzę.

— Pana pewność siebie odbiera może panu jasny sąd o tem?

— Przyznam się pani, że nie rozumiem jej słów — odparł trochę zaintrygowany Oktawiusz.

Młoda kobieta bawiła się w tej chwili wachlarzem, isnem cackiem, zlepieniem z piór barwnych i perłowej masy. Powolnym ruchem położyła bawidelko na kominku i spojrzała prosto w oczy swojego gościa.

— Posłuchaj mnie pan — wyrzekła poważnie. — Powiedziałam przed chwilą, że znam pana i dowiodłam, że sprawy pana nie są mi obce. Wiem, że jest pan zaręczony z panną Sylwią de Compans. Ale wiem jeszcze o jednej rzeczy, o której, jak się zdaje, że pan nie wie wcale.

— Proszę, niech pani mówi — szepnął Oktawiusz, lekko zaniepokojony.

— Od kilku dni, panie Oktawiuszu, ma pan rywala.

— Ja?

— I to niebezpiecznego.

— Czy on należy do sfer finansowych?

— On należy tylko do siebie samego.

— Ale ja go nie znam?

— Przeciwnie. Jest pan na drodze uczynienia go swoim przyjacielem.

— To zagadka dla mnie, proszę pani.

— Czy chce pan, żebym ją wyjaśniła?

— Proszę.

Młoda kobieta obojętnym ruchem ujęła znowu do ręki wachlarz i przypatrując mu się uważnie, wyrzekła spokojnie:

— Jakże się nazywa człowiek, który kiedyś wyratował z niebezpiecznej choroby pana narzeczoną?

— Doktor Frank — odparł Oktawiusz, coraz bardziej zdziwiony.

— I co pan myśli o nim?

Oktawiusz uczynił gest, wyrażający zupełną obojętność w tym kierunku.

— Doktor Frank jest bardzo sympatycznym człowiekiem — odparł swobodnie — i chociaż znajduję, że jest trochę zamknięty w sobie i zimny, chętnie uważałbym go za przyjaciela.

— I nie zauważył pan, że on się bardzo interesuje pańską narzeczoną?

— On?

— Niech pan odpowie.

Oktawiusz wybuchnął głośnym śmiechem, podczas kiedy młoda kobieta badała jego twarz z jakąś natężoną uwagą.

— Niech mi pan odpowie — nalegała.

— Ależ to szalona myśl — zawołał Oktawiusz. Doktor Frank jest bardzo uczony, zdolny i zręczny, o ile się zdaje, ale pomimo swojej młodości i sympatycznego wyglądu, jestem zupełnie pewny, że nie uczyni żadnego wrażenia na Sylwii.

— Ale on sam? — szepnęła młoda kobieta pytającym tonem.

— Doktor Frank nie myśli o miłości, tak sądzę przynajmniej, gdyby tak było, wiedziałbym o tem.

— Jakim sposobem?

— Przez jego przyjaciela.

— Don Lopeza?

— Pani go zna?

— Doskonale.

— A zresztą — wzruszył Oktawiusz ramionami — co mnie to obchodzi. Nie przyszedłem tu do pani ani dla doktora Franka, ani dla Lopeza. Wizyta moja ma cel zupełnie inny.

Młoda kobieta uśmiechnęła się lekko.

— To możliwe — rzekła trochę ironicznie — ale ja, przyznam się panu, nie miałam innego celu, przyjmując pana u siebie.

— Co pani mówi?

— Oczekuję kogoś.

— Doktora Franka może.

— Tak, jego.

Oktawiusz powstał.

— Powinienem się był tego domyśleć — odparł do siebie. — Ach! Naprawdę, doktor Frank może się szczycić, że należy do szczęśliwych ludzi.

— Tak pan sądzi?

— A więc on tu ma nadejść?

— Oczekuję go lada chwila.

— A ja powinienem się oddalić. Nieprawdaż?

— Chciałam właśnie pana o to prosić — rzekła młoda kobieta swobodnie.

— Oktawiusz skłonił się głęboko.

— Niech i tak będzie — rzekł z wysiłkiem. — Miejsce jest zajęte. Nie będę na tyle źle wychowany, aby nalegać. Ale niech mi pani pozwoli przynajmniej mieć nadzieję.

— Nie rozumiem pana.

— Kto wie. Niema nic na świecie wiecznego i często bardzo to szczęście, które się oczekiwało z pierwszej miłości, dać może dopiero druga.

Młoda kobieta skrzywiła się niechętnie i już miała dać jakąś odpowiedź, kiedy donośny dźwięk dzwonka zabrzmiał w mieszkaniu.

Zadrżała lekko i powstała z kanapki.

— Do widzenia pani — rzekł Oktawiusz, widocznie niezadowolony i zmieszany.

— Żegnaj pana — odpowiedziała młoda kobieta zimno, oddalając się spieszenie do drugiego pokoju.

(Ciąg dalszy nastąpi.)